chrześcijaństwo nie jest ani finalne, ani uniwersalne. Ale to, czemu daje ono świadectwo, jest finalne i uniwersalne.

P. Tillich, *Teologia systematyczna*, t. I, tłum. J. Marzęcki, Kęty 2004, s. 105–108, 113–114, 116, 118, 127–128.

Pytania

1. Jaki jest w powyższym tekście związek pomiędzy pojęciami „objawienie" i „tajemnica"?
2. W jakim sensie objawienie może być historyczne?
3. W jakim sensie Jezus Chrystus jest miejscem finalnego objawienia?
4. Czy chrześcijaństwo jest finalnym objawieniem?

Opr. Piotr Sikora

Siergiej Bułgakow

Siergiej Bułgakow (1871–1944) – jeden z najwybitniejszych rosyjskich myślicieli religijnych XX wieku, ksiądz prawosławny. W młodości, jako kleryk, stracił wiarę, porzucił seminarium i przez pewien czas był zwolennikiem marksizmu. Jego stopniowy powrót do Kościoła wiązał się ze studiami w dziedzinie ekonomii politycznej i filozofii oraz z osobistym doświadczeniem religijnym, opisanym następnie w książce *Swiet niewieczernyj* („Światłość niezachodząca"). Wykładał ekonomię polityczną na wyższych uczelniach w Kijowie, Moskwie i Symferopolu. W roku 1907 został deputowanym do rosyjskiego parlamentu. Wkrótce po przewrocie bolszewickim przyjął święcenia kapłańskie. W roku 1922 został aresztowany i wydalony z kraju. Osiadł w Paryżu, gdzie wykładał prawo kanoniczne i teologię w Rosyjskim Instytucie Naukowym oraz dogmatykę w Prawosławnym Instytucie św. Sergiusza. Pełnił tam również posługę duszpasterską. Kontrowersyjne dla wielu teologów, a nawet potępione przez część prawosławnej hierarchii nauczanie Siergieja Bułgakowa stanowiło próbę pozytywnego rozwinięcia sformułowanej przez Sobór Chalcedoński w sposób negatywny nauki o unii hipostatycznej w Chrystusie. Zasadniczą rolę odgrywała w tej chrystologii przejęta od W. Sołowjowa i P. Florenskiego idea Sofii – Boskiej Mądrości, jako treści absolutnego Umysłu, a jednocześnie syntetycznego archetypu stworzonego świata. Pośród prac teologicznych Bułgakowa wyróżnia się trylogia „O Bogoczłowieczeństwie", na którą składają się książki: *Agniec Bożyj* („Baranek Boży"), *Utieszytiel* („Pocieszyciel") i *Niewiesta Agnca* („Oblubienica Baranka"). Pod koniec życia walczący z chorobą nowotworową ojciec Siergiej został rektorem Instytutu św. Sergiusza.

Tekst

Zbliżałem się do dwudziestego czwartego roku życia, ale już prawie dziesięć lat w mojej duszy poderwana była wiara i po burzliwych kryzysach i wątpliwościach zapanowała w niej pustka religijna. Dusza zaczęła zapominać trwogę religijną, zgasła sama możliwość istnienia wątpliwości i z radosnego dzieciństwa pozostały jedynie poetyckie marzenia, łagodna mgła wspomnień, zawsze gotowa rozwiać się. O, jakże straszne było to uśpienie duszy, przecież z niego można nie obudzić się przez całe życie! Równocześnie ze wzrostem intelektualnym i rozwojem naukowym dusza niepowstrzymanie i niezauważalnie pogrążała się w lepki muł samozadowolenia, pychy i trywialności. Zapanował w niej jakiś szary zmierzch, w miarę jak coraz bardziej gasła radość dzieciństwa. Właśnie wtedy nieoczekiwanie zdarzyło się *to*… W duszy zadźwięczały tajemnicze głosy, a dusza runęła im na spotkanie…

Zapadał zmierzch. Jechaliśmy przez południowy step, owiani wonią ziół, traw i siana, wyzłoceni purpurą łagodnego zachodu słońca. W dali błękitniały bliskie już góry Kaukazu. Widziałem je po raz pierwszy. Wbijając zachwycone oczy w coraz bliższe góry, wchłaniając światło i powietrze, skupiałem uwagę na objawieniu przyrody. Dusza dawno już temu przywykła do postrzegania w przyrodzie, z tępym, milczącym bólem, jedynie martwej pustyni pod zasłoną piękna jak pod fałszywą maską; wbrew własnej świadomości nie mogła pogodzić się z przyrodą bez Boga. I nagle dusza wzburzyła się, rozradowała, zadrżała: a *jeśli On istnieje*… jeśli to nie jest pustynia, nie fałsz, nie maska, nie śmierć, ale On, dobry i miłujący Ojciec, Jego szata, Jego miłość… A jeśli… jeśli moje dziecięce, święte odczucia, kiedy żyłem z Nim, chodziłem przed Jego obliczem, kochałem i drżałem ze swojej bezsiły, aby się do Niego zbliżyć, jeśli moje dziecięce porywy i łzy, słodycz modlitwy, moja czystość dziecięca, przeze mnie wyśmiana, opluta, zbrukana, jeśli wszystko to jest prawdą, a to, martwe i puste, jest ślepotą i fałszem? Czy to jest możliwe? Czyż nie wiem, już od czasów seminarium, że Boga nie ma, czy w ogóle można o tym mówić? Czy mogę przyznać się sam przed sobą do takich myśli, nie wstydząc się swojej małoduszności, nie doświadczając panicznego strachu przed „naukowością" i jej sanhedrynem? O, byłem w niewoli „naukowości", tego stracha na wróble, postawionego do tłumu inteligencji, dla niewykształconego tłumu, dla durniów! Jakże ciebie nienawidzę, poroniony płodzie braku wykształcenia, duchowa dżumo naszych dni, która zaraża młodzież i dzieci! Sam kiedyś zostałem zarażony tą zarazą i zarażałem nią innych…

To znowu wy, góry Kaukazu! Patrzyłem na wasze lodowce, połyskujące od morza do morza, na wasze śniegi, czerwieniejące w porannej zorzy, ku niebu wznosiły się wasze szczyty, a dusza moja rozpływała się z zachwytu. A to, co tylko na chwilę błysnęło, aby natychmiast zgasnąć w tym stepowym wieczorze, teraz dźwięczało

i śpiewało, splatając się w triumfalnym, przedziwnym chorale. Przede mną płonął pierwszy dzień stworzenia. Wszystko było promienne, wszystko było pogodzone, przepełnione dźwięczącą radością. Serce było gotowe rozerwać się ze szczęścia. Nie ma życia i śmierci, jest tylko wieczność, nieruchome *dzisiaj*. *Teraz, o Panie, pozwalasz odejść*, dźwięczało w duszy i przyrodzie. Nieoczekiwane uczucie rozlewało się i umacniało w duszy: zwycięstwo nad śmiercią! Chciałbym umrzeć w tym momencie, dusza błagała o śmierć w rozkosznym znużeniu, aby radośnie, triumfalnie wstąpić w to, co wznosiło się, iskrzyło i jaśniało pięknem pierwszego dnia stworzenia. Nie było żadnych słów, nie było Imienia, nie było „Chrystus zmartwychwstał!", zaśpiewanego światu i wysokim przestworzom… Nie umarł w duszy ten moment spotkania, to objawienie, uczta weselna, pierwsze spotkanie z Sofią… To, o czym mówiły mi góry w swym triumfalnym jaśnieniu, wkrótce znowu rozpoznałem w nieśmiałym i łagodnym spojrzeniu dziewicy, nad innymi brzegami, pod innymi górami. Ta sama światłość jaśniała w pełnych zaufania, przestraszonych i łagodnych, na poły dziecięcych oczach, pełnych świętego cierpienia. Objawienie miłości mówiło mi o innym świecie, o świecie, który utraciłem (…).

Nadeszła nowa fala upojenia światem. Wraz z „osobistym szczęściem" pierwsze spotkanie z „Zachodem" i pierwszy nim zachwyt: „kultura", komfort, socjaldemokracja… Nagle nieoczekiwane, cudowne spotkanie: Madonna Sykstyńska w Dreźnie sama dotknęła mego serca i od Twego wezwania zadrżało serce.

Przejeżdżając przez Drezno, w jesiennej mgle, jak wszyscy turyści, śpieszyłem zwiedzić Zwinger z jego wspaniałą galerią. Moje wiadomości na temat sztuki były beznadziejne i nie wiedziałem, co mnie oczekuje w galerii. Właśnie tam spojrzały w moją duszę oczy Królowej Nieba, idącej na obłokach z Przedwiecznym Dziecięciem. W tych oczach tkwiła nieskończona moc czystości i przenikliwej kobiecości, wiedza o cierpieniu i gotowość na wielkie cierpienie, i ta sama prorocza ofiarność była widoczna w niedziecięco mądrych oczach Dziecięcia. One wiedziały, co je czeka, na co są skazane, i On dobrowolnie idzie Siebie złożyć w ofierze, spełnić wolę Tego, który Go posłał: Ona „przyjęła oręż w serce", On Golgotę… Straciłem poczucie rzeczywistości, kręciło mi się w głowie, z oczu płynęły radosne, a zarazem gorzkie łzy, a wraz z nimi tajał lód w sercu i rozwiązywał się jakiś życiowy węzeł. To nie był zachwyt estetyczny, nie, to było *spotkanie*, nowa wiedza, *cud*… ja (wtedy marksista!) mimo woli nazywałem tę kontemplację modlitwą (…).

Wróciłem do ojczyzny z pobytu za granicą z uczuciem utraty gruntu i z już nadłamaną wiarą w moje ideały. W duszy dojrzewała „wola wiary", zdecydowanie dokonania, w końcu, szalony dla mądrości świata skok na drugi brzeg, „od marksizmu" i wszelkich idących za nim „izmów" do… prawosławia. Jednak lata mijały, a ja wciąż kuliłem się za płotem i nie mogłem zdecydować się na krok ostateczny, na przystąpienie do sakramentów pokuty i komunii, czego coraz bardziej pragnęła dusza. Pamiętam, jak pewnego razu, w Wielki Czwartek, za-

szedłem do cerkwi i zobaczyłem (wtedy „deputowany") ludzi przyjmujących komunię przy wstrząsających dźwiękach pieśni „Przyjmij mnie dzisiaj, Synu Boży, jako uczestnika mistycznej Twojej Wieczerzy…". Cały we łzach uciekłem z cerkwi i płacząc szedłem moskiewską ulicą, padając pod swoją bezsiłą i niegodnością. Trwało to do tej chwili, póki nie pochwyciła mnie mocna dłoń…

Jesień. Samotna, zagubiona w lesie pustelnia. Słoneczny dzień i znana północna przyroda. Niepokój wywołany przez bezsilność jak dawniej rządzi duszą. Przyjechałem tutaj, korzystając z okazji, z cichą nadzieją, że spotkam Boga. Tutaj jednak moje zdecydowanie ostatecznie mnie opuściło… Stałem na nieszporach bez czucia i pełen chłodu, a po nieszporach, kiedy zaczęto czytać modlitwy „dla przygotowujących się do spowiedzi", prawie wybiegłem z cerkwi, „wyszedłem stamtąd, gorzko płacząc". Szedłem smutny, niczego nie widząc wokół siebie, kierując się ku hotelowi, i oprzytomniałem… w celi, u starca. Zostałem tutaj *przyprowadzony*, poszedłem bowiem w innym kierunku na skutek mego ciągłego roztargnienia, teraz jeszcze wzmocnionego przez przygnębienie, ale w rzeczywistości – wiedziałem wtedy o tym doskonale – ze mną zdarzył się cud… Ojciec, zobaczywszy zbliżającego się syna marnotrawnego, jeszcze raz sam pospieszył mu na spotkanie. Starzec powiedział mi, że wszystkie ludzkie grzechy są jak kropla wody wobec oceanu Bożego miłosierdzia. Wyszedłem od starca rozgrzeszony i pogodzony, drżący i we łzach, czując się jak ktoś wniesiony na skrzydłach do Kościoła. W drzwiach spotkałem się ze zdziwionym i uradowanym przyjacielem, który przed chwilą widział, jak roztargniony opuszczałem cerkiew. Był on mimowolnym świadkiem tego, co stało się ze mną. „Pan przeszedł", radośnie mówił później…

Oto wieczór i znowu zachód słońca, ale już nie na południu, a na północy. W przejrzystym powietrzu ostro rysują się cerkiewne kopuły i w długich szeregach bieleją monasterskie, jesienne kwiaty. W błękitniejącą dal stopniowo uchodzą lasy. Nagle pośród tej ciszy, gdzieś z góry, jakby z nieba, rozległo się uderzenie cerkiewnego dzwonu, po czym wszystko znowu zamilkło, i dopiero po pewnym czasie dzwon zaczął bić równo i bez przerwy. Dzwonili na nieszpory. Jak gdyby pierwszy raz słuchałem, jak nowonarodzony, słuchałem tego dzwonu, czując z drżeniem, że i mnie wzywa on do cerkwi jako wierzącego. W ten wieczór pełnego łaski dnia, a jeszcze bardziej następnego dnia, podczas Liturgii, na wszystko patrzyłem nowymi oczami, wiedziałem bowiem, że i ja jestem wezwany i we wszystkim tym realnie uczestniczę: dla mnie i za mnie na Krzyżu wisiał Pan i przelał najczystszą swoją Krew, i dla mnie rękoma kapłana przygotowana została najświętsza uczta, to mnie dotyczy czytana Ewangelia, w której jest mowa o wieczerzy w domu Szymona Trędowatego i o przebaczeniu grzesznej kobiecie, która bardzo umiłowała, i mnie danym było przyjąć najświętsze Ciało i Krew mojego Pana.

S. Bułgakow, *Swiet niewieczernyj*, [za:] M. Łosski, *Historia filozofii rosyjskiej*, tłum. H. Paprocki, Kęty 2000, s. 218–221.

Pytania

1. Co składa się na przeżycia, o których opowiada autor cytowanych tekstów?
2. Jakie można dostrzec różnice pomiędzy doświadczeniem z gór Kaukazu a tym z galerii w Dreźnie i z rosyjskiego monasteru?
3. Czego autor właściwie doświadczył? Jak on sam interpretuje swoje przeżycia?

Opr. Marek Kita

Bruno Forte

Abp Bruno Forte urodził się w 1949 roku. Jest on członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej, teologiem, filozofem, działaczem kościelnym i społecznym oraz poetą. Jego dorobek naukowo-badawczy to ponad 500 pozycji, z których najważniejsza jest ośmiotomowa suma teologiczna *Simbolica ecclesiale. Una teologia come storia* (1981–1996), zawierająca całość dogmatyki katolickiej.

Bruno Forte tworzy teologię, która obok formy metafizyczno-spekulatywnej przyjmuje i rozwija nową postać nauki historycznej. Teologia ta ma wyrastać, podobnie jak i wiara, wprost z eklezjalnego i osobistego doświadczenia Boga, objawiającego się w Jezusie Chrystusie, wyzierającego z konkretnej egzystencji ludzkiej, kontynuującego dzieło zbawienia w Kościele i dopełniającego ostatecznie całą ekonomię i historię zbawienia.

Tekst

Bóg wiary hebrajskiej i chrześcijańskiej jest Bogiem adwentu, Wiecznym, który ma czas dla człowieka. Wchodząc w historię, otworzył drogę, pobudził oczekiwanie, dając coraz większe obietnice ich ostatecznego wypełnienia. Stąd Jego przyjście jest *re–velatio,* objawieniem, odsłonięciem się tego, co zasłonięte; przyjściem, które otwiera drogę, pokazaniem się przez wycofanie, które przyciąga. Dialektyka „odsłonięcia" i „ukrycia" odsyła do terminu *re–velatio*, w którym przedrostek *re* ma zarówno znaczenie powtórzenia tego samego, jak i przejścia do stanu przeciwnego: objawienie się Boga, który przychodzi, jest zdjęciem zasłony, która ukrywa, a jednocześnie jest jeszcze większym zakryciem; jest komunikowaniem siebie, które jest nierozłączne z ponownym „zasłonięciem". Dlatego tradycja hebrajsko-chrześcijańska obok teologii Słowa obejmuje też, nieodłączną od niej, teologię Milczenia. Mówienie o Bogu nigdy nie dokona się bez Jego najgłębszego milczenia. (…)

Słowo, które stało się ciałem, jest „Słowem, które wyszło z Milczenia"; Synem, który doświadcza wyjścia z *altissima Silentia Dei* z miłości do nas, żywą i świętą świątynią, w której człowieczeństwo „Boga z nami" otwiera przed nami boską